GŁOS tygodnia
POGLĄDY POLEMIKI POSTULATY
DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO
Nr 333 17 III 1968 Rok VIII

Wiesław Porzycki

Z dyplomem... na studia

Aktualizacja wiedzy problemem naszych czasów

Kiedyś — zdobycie dyplomu było szczytem marzeń wielu ludzi. Kiedyś — dyplom równał się patentowi na wiedzę określonej specjalności. Ale patenty — te kongenialne, zdawałoby się, pomysły naszej doby — mają to do siebie, że tracą z biegiem czasu na znaczeniu. Obecnie zaś dewaluują się niepokojąco szybko.

Potrzeba stałego aktualizowania „patentów wiedzy" stała się dzisiaj czymś oczywistym, zarysowanym najbardziej bodaj wyraziście w zakresie techniki i ekonomii. W dobie elektronowych maszyn, lotów kosmicznych i przeszczepów serc, dyplom ukończenia studiów wyraźnie zmienia swe znaczenie. Jeśli już miałbym pozostać przy użytej uprzednio metaforze, rzec trzeba by chyba, iż dyplom jest dzisiaj patentem potwierdzającym czyjeś podstawowe przygotowanie specjalistyczne. Dyplom inżyniera, czy ekonomisty, to dla młodego człowieka próg, którego pomyślne przekroczenie otwiera przed nim obszary wiedzy konieczne do penetrowania, obszary bezkresne.

Dawniej rozpowszechniano pogląd, iż sprawa uzupełniania wiedzy to sprawa jednostek słabszych, legitymujących się wprawdzie dyplomem lecz wykazujących mierny zasób wiedzy i umiejętności. Dzisiaj nie wytrzymuje to konfrontacji z życiem, bo wszyscy, także ci, którzy radzą sobie z bieżącymi zadaniami dobrze muszą podnosić swoje kwalifikacje. Po prostu dlatego, żeby ich dzisiejsza zaradność nie przemieniła się w jutrzejszą nieporadność. Aby przyszłe, wciąż zwiększające się potrzeby nie wyprzedziły ich aktualnego poziomu umiejętności i wiedzy. Nawet wybitnemu specowi grozi „zastygnięcie", równoznaczne w dzisiejszych czasach z cofaniem się.

Idealnym stanem rzeczy byłoby prowadzenie przez każdego technika, inżyniera, lub ekonomistę — systematycznego dokształcania, po to, by wyprzedzać poziomem wiedzy aktualny stan postępu w swej dziedzinie pracy. I jeśli coś podobnego nie jest jeszcze w naszych warunkach na wielką skalę (z rozmaitych względów) możliwe — to trzeba jednak zdać sobie sprawę z tego, iż ludziom ignorującym sprawę podnoszenia kwalifikacji grozi zawodowa degradacja.

Do niedawna oceniano, że dla inżyniera, bądź ekonomisty, dziesięć lat jest okresem, w ciągu którego aktualizowanie przez nich wiedzy staje się warunkiem przeciwdziałania zjawisku tzw. wtórnego analfabetyzmu. Ale już obecnie autorytety naukowe skłonne są raczej sądzić, że dewaluacja dyplomowej, nie uzupełnianej wiedzy, postępuje jeszcze szybciej.

Problem ten nie od dzisiaj zaprząta uwagę kierownictwa partii. Zenon Kliszko w jednym z swych niedawnych wystąpień mówił niezwykle dobitnie o konieczności nieustannego uzupełniania wiedzy. Sekretarz KC wyraził pogląd, iż w ciągu swej pracy zawodowej każdy fachowiec z dziedziny przemysłu musi właściwie w związku z postępem technicznym, przekwalifikowywać się trzykrotnie.

Tak więc problem dawniej dający się zakwalifikować jako osobiste troski inżyniera Kowalskiego, lub ekonomisty Nowaka — staje się problemem o zasięgu społecznym. Mogą bowiem Kowalscy i Nowakowie wykazać wiele dobrych chęci, a mimo tego nie zdołają — zgodnie z duchem nowych czasów — dotrzymać kroku postępowi wiedzy, z braku po temu odpowiedniej lektury, urządzeń, czy po prostu z braku umiejętności samodzielnego wyszukiwania i przyswajania najistotniejszych nowości.

Niezbędne staje się zorganizowanie powszechnego systemu aktualizowania wiedzy, z jednej strony wzbogacającego zasób wiadomości pracowników, z drugiej zaś — pobudzającego ich inwencję w poszukiwaniu nowych rozwiązań, pobudzającego do nowych dociekań. Stosunkowo nieźle sprawdzoną formą uzupełniania wiedzy są studia podyplomowe, organizowane przez wyższe szkolnictwo ekonomiczne. W kraju mamy, jak do tej pory w ogóle 108 studiów podyplomowych rozmaitych kierunków. Sporo starają się też na tym polu zrobić resorty, a także wojewódzkie oddziały NOT. Nie są to formy złe, nie są też jednak w pełni zadowalające. Potrzeba stworzenia ogólnego, możliwie jednolicie pomyślanego, sprawnie funkcjonującego systemu aktualizowania wiedzy — staje się czymś oczywistym dla zainteresowanych środowisk.

Na Śląsku rozważa się obecnie, czy nie dało by się, w oparciu o wojewódzką organizację NOT i działający przy niej Ośrodek Postępu Technicznego — przygotować rocznego programu kursu-konferencji i seminariów, przystosowanego do bieżących zadań gospodarczych Śląska i Zagłębia. Być może taka inicjatywa mogłaby się stać fundamentem szerzej pomyślanego systemu podnoszenia kwalifikacji — także w środowiskach z techniką nie związanych.

Zarazem nie powinniśmy rezygnować z innych form pogłębiania wiedzy i doskonalenia umiejętności, jaką może być międzyzakładowa, międzybranżowa i międzywojewódzka wymiana fachowców na dłuższy lub krótszy okres. Powinniśmy wreszcie podjąć szersze próby na tym polu. Tu przypomnijmy niedawne jednoznaczne sugestie kierownictwa PZPR, by rozpocząć rotację kadr pomiędzy fabrykami i zjednoczeniami oraz wyższymi ogniwami administracji.

Ale rozważając problem podyplomowego dokształcania nie możemy — koncentrując się na kwestiach organizacyjnych — pomijać innych aspektów tego złożonego problemu. W grę wchodzi problem czasu dla fachowców, na ogół mocno obciążonych obowiązkami zawodowymi i społecznymi. Przemyślenia wymaga też system zachęt; chyba nie wystarczy tu apelowanie do ambicji zainteresowanych; rozważyć trzeba przysługujące im uprawnienia.

Są też inne trudności: niedostatki bazy kadrowo-materialnej dla prowadzenia powszechnie pomyślanego i systematycznie realizowanego, kształcenia podyplomowego. Personel dydaktyczny jest i tak, w stosunku do liczby studiujących, niedość liczny; jest przeciążony zajęciami i grozi mu też w jakimś stopniu niepodążanie za postępem, z braku czasu na rzetelne uzupełnianie wiedzy ze swej strony. A to jest przecież zupełnie zasadnicza, dla kształcenia innych, sprawa.

Być może kolegium rektorów, czy NOT, czy inne ciało, instytucja, organizacja, bądź wreszcie Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego powinny dokonać oceny wypróbowanych już form kształcenia podyplomowego i w oparciu o uzyskany materiał nakreślić plany działania. Ale na pewno jest to sprawa dnia. I dotyczy nie tylko inżynierów oraz ekonomistów.

Poniżej drukujemy drugi fragment książki wybitnego znawcy zagadnień prawa międzynarodowego z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, prof. dr. Alfonsa Klafkowskiego, pt. „Ściganie zbrodniarzy wojennych a prawo międzynarodowe", która ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Poznańskiego. Drukowany przez nas fragment pochodzi z rozdziału III, zatytułowanego „Odpowiedzialność zbrodniarzy wojennych nie ulega przedawnieniu".

Za zgodą autora pomijamy przypisy i odsyłacze. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji.

Prof. dr Alfons Klafkowski

Wkład Polski do ścigania i karania zbrodniarzy hitlerowskich

Istnieją szczególne podstawy do omówienia odrębnie stanowiska Polski wobec ustawy NRF z 13 kwietnia 1965 r. Polska była mianowicie tym państwem z grupy Narodów Zjednoczonych, które już w 1960 r. zajęło wyraźnie stanowisko przeciwko pierwszemu etapowi przedawnienia zbrodni wojennych w NRF.

Oświadczenie polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z 26 kwietnia 1960 r. stwierdza, że wieloletnia bezczynność organów NRF w dziedzinie ścigania zbrodni wojennych i formalne zapewnienie bezkarności tym zbrodniarzom w ustawach obowiązujących w NRF — prowadzi do konsekwencji urągających poczuciu sprawiedliwości. W związku z tym oświadczenie polskie stwierdza:

... W 15 rocznicę zdruzgotania przez koalicję antyhitlerowską reżimu zbrodni i okrucieństw, których ofiarą padły miliony ludzi w Polsce i w innych krajach, nie wyłączając samych Niemiec, zbrodniarze hitlerowscy będą premiowani formalnie zabezpieczoną bezkarnością. Nie chodzi przy tym o sporadyczne przypadki uniknięcia wymiaru sprawiedliwości przez winnych zbrodni hitlerowskich, ale o idącą w wiele tysięcy liczbę przestępców, z których ręki lub rozkazu ginęli ludzie w Polsce i w innych krajach. Stan taki był możliwy tylko dlatego, że władze NRF nie przejawiały chęci doprowadzenia do tego, by zbrodniarze hitlerowscy stanęli przed sądem i ponieśli zasłużoną karę...

Oświadczenie podkreśla dalej, że władze NRF ograniczały możliwości ścigania zbrodniarzy wojennych „...odrzucenia zasad ustalonych w orzecznictwie norymberskim w procesach przeciw głównym zbrodniarzom hitlerowskim...". Wreszcie oświadczenie polskie stwierdza, że nie zostały podjęte przez NRF tak podstawowe decyzje, jak np. zbadanie archiwów zbrodni niemieckich w Polsce, mimo że władze polskie były i są gotowe je udostępnić kompetentnym władzom niemieckim.

Rozwinięcie tego stanowiska polskiego zawiera memorandum rządu polskiego z 5 marca 1965 r. w sprawie konieczności przedłużenia okresu ścigania zbrodni wojennych, przedstawione Sekretarzowi Generalnemu ONZ. Data tego dokumentu wskazuje, że został on przygotowany w związku z dyskusją, jaka toczyła się w tym okresie w NRF (Bundestag) nad projektem ustawy o przedawnieniu zbrodni wojennych. W tym okresie sama zasada przedawnienia — jak również kwestia terminu — nie była jeszcze rozstrzygnięta. Ostateczne wyniki dyskusji i sporów na ten temat znalazły swój wyraz w ustawie NRF z 13 kwietnia 1965 r. Memorandum polskie uprzedziło więc tę ustawę i przedstawiło najbardziej kompetentnemu forum — to jest właściwym organom ONZ — wszystkie argumenty prawne, przemawiające przeciwko przedawnieniu zbrodni wojennych. Warto dodać, że w oficjalnym komentarzu polskim sformułowanym już po wejściu w życie ustawy NRF z 13 kwietnia 1965 r., ocena dyskusji nad tą ustawą została ujęta następująco:

... Ze wszystkich możliwych rozwiązań sprawy przedawnienia parlament zachodnioniemiecki wybrał... rozwiązanie, które ludzkiemu poczuciu sprawiedliwości czyni zadość w najmniejszym możliwie stopniu...

Komentarz ten podkreśla, że parlament NRF nie chciał przyjąć rozwiązania zgodnego z prawem międzynarodowym i uchylił się w ten sposób... od podjęcia jedynej uczciwej decyzji, która byłaby równoznaczna z potępieniem reżimu hitlerowskiego, jako reżimu niebywałych w historii zbrodni. Parlament zachodnioniemiecki odrzucił również propozycję przedłużenia terminu przedawnienia o 10 czy 15 lat. Przedłużenie terminu ścigania morderców hitlerowskich o taki okres nie miałoby oczywiście tej wymowy moralnej i politycznej, jaką miałaby decyzja o uchyleniu przedawnienia w ogóle. Ale miałaby przynajmniej ten walor, że w praktyce pozbawiałaby znaczną część morderców nadziei na legalną bezkarność...

Równolegle do aktywności na płaszczyźnie prawa międzynarodowego rozpoczęły się w Polsce pod koniec 1963 r. prace nad uchyleniem wszelkich możliwości przedawnienia ścigania zbrodniarzy wojennych na płaszczyźnie prawa wewnętrznego. Już bowiem w tym okresie było rzeczą oczywistą, że władze NRF odmówią ekstradycji zbrodniarzy wojennych tym państwom, na których terytorium popełnili oni zbrodnie. Urzędowe statystyki wykazywały już, że na terytorium NRF tylko nieliczni zbrodniarze wojenni zostali pociągnięci do odpowiedzialności. Przygotowania czynione przez władze NRF do wprowadzenia ostatecznego przedawnienia za zbrodnie wojenne pozwalały więc przewidywać, że wielu zbrodniarzy ujdzie sprawiedliwości. Na podstawie takich ustaleń zapadła decyzja, ażeby w polskim prawie wewnętrznym uregulować odrębnym aktem sprawę nieprzedawnienia najcięższych zbrodni wojennych. Te przesłanki zadecydowały o opracowaniu ustawy z 22 kwietnia 1964 r. w sprawie wstrzymania biegu przedawnienia w stosunku do sprawców najcięższych zbrodni hitlerowskich, popełnionych w okresie II wojny światowej. Ustawa wprowadza zawieszenie przedawnienia jeżeli nie wszczęto lub nie prowadzono postępowania karnego na skutek nieujawnienia lub nieujęcia sprawcy, albo nie wydania sprawcy przebywającego za granicą.

Ustawa polska przyciągnęła uwagę wielu państw europejskich, szczególnie zainteresowanych w dziedzinie ścigania zbrodniarzy wojennych. Niebawem również w innych państwach podjęte zostały podobne decyzje, które przybrały formę bądź ustaw, bądź deklaracji kompetentnych organów państwowych, zawieszających bieg przedawnienia lub znoszących przedawnienie zbrodni wojennych. W ten sposób polska ustawa z 22 kwietnia 1964 roku stanowi dodatkowy wkład Polski do praktyki międzynarodowej w dziedzinie ścigania i karania zbrodniarzy wojennych, zgodnie z aktami prawa międzynarodowego.

Warto dodać, że toczące się od kilku lat w Polsce prace nad projektem nowego kodeksu karnego oparte są oczywiście — w dziedzinie ścigania i karania zbrodni przeciwko pokojowi, przeciwko ludzkości i zbrodni wojennych — na tych aktach prawa międzynarodowego, które normują ten dział stosunków prawnych. Jest rzeczą oczywistą, że instytucja przedawnienia będzie uregulowana w nowym polskim kodeksie karnym w sposób zgodny z wymogami prawa międzynarodowego w dziedzinie odpowiedzialności za zbrodnie wojenne.

Syjonizm i jego cele

Burżuazyjna prasa na Zachodzie podniosła już zarzut antysemityzmu zalewając go jakoby łamy prasy polskiej. Objawem antysemityzmu ma być między innymi i fakt odwołania Grudzieńskiego, Topolskiego i Góreckiego ze stanowisk rządowych, którzy musieli odejść ponieważ ich synowie uprawiali propagandę syjonistyczną i byli aktywnymi prowodyrami zajść z 8 marca i dni następnych na Uniwersytecie Warszawskim.

„Ambasador Izraela w jakimś kraju jest nie tylko przedstawicielem Izraela, lecz także życiową siłą w działalności gminy żydowskiej tego kraju".

(A. Pinkus — przewodniczący Agencji żydowskiej).

Do akcji protestacyjnej przeciwko naszemu rzekomemu antysemityzmowi włączył się także dr Nahum Goldman — przewodniczący Światowego Kongresu Żydów — swoistej między narodówki syjonistów.

„Uważam za swój obowiązek — oświadczył dr Goldman w komunikacie opublikowanym 13 marca przez londyński oddział Kongresu — zaprotestować przeciwko pozbawionej podstaw propagandzie prowadzonej przez polityków i prasę polską. Kampania ta jest haniebnym oszczerstwem pod adresem drobnej społeczności 20 tys. ludzi, ocalałych z 3 mln. polskich obywateli pochodzenia żydowskiego przed wojną, którzy padli ofiarą ludobójstwa z rąk hitlerowców. Jest nie do pomyślenia, by rząd polski mógł pozwolić, aby Żydów potraktowano jako kozłów ofiarnych, na których zwala się odpowiedzialność za wewnętrzne obecne trudności i aby nie potępił tej próby dawnych sił reakcyjnych w Polsce, reaktywowania antysemityzmu. Żydzi w całym świecie są głęboko zaniepokojeni tą kampanią z uwagi na jej ewentualne konsekwencje dla sytuacji Żydów w Polsce i na fakt, że stanowi ona pożywkę dla elementów antysemickich".

Oświadczenie to stanowi klasyczny przykład metod działania światowego syjonizmu, który każdą krytykę i działanie skierowane przeciwko wyznawcom reakcyjnej rasistowskiej ideologii, którą jest syjonizm, z miejsca utożsamia z krytyką skierowaną przeciwko określonej narodowości — Żydom.

Na całym świecie, żaden naród, żadna narodowość nie odnosi do siebie krytyki i działania skierowanych przeciwko jej burżuazji, wielkim, małym czy i pomniejszym kapitalistom.

Żaden też kapitalista amerykański czy jakikolwiek inny polskiego pochodzenia nie utożsamia się z polskim robotnikiem czy chłopem. Odwrotnie dzieje się ze syjonistami,

„Edmond Rotschild (przewodniczący Krajowego Komitetu Koordynacyjnego Stowarzyszeń Żydowskich we Francji — przyp. red.) **zaapelował do żydowskiego patriotyzmu, by pomogli finansowo Izraelowi** (mowa o apelu do Żydów francuskich po czerwcowej agresji Izraela na kraje arabskie — przyp. red). **W liście przypominał stare żydowskie prawo, nakładające obowiązek płacenia ojczyźnie dziesięciny. W ten sposób dla barona Rotschilda patriotyzm żydowski stał się ważniejszy od patriotyzmu francuskiego. W ten sposób jakobińska doktryna jednolitego narodu francuskiego została wyrugowana przez doktrynę syjonistyczną".**

(francuski dziennikarz Georges Broussine w „International Herald Tribune", 4 grudnia 1967 r.).

każdy z nich uważa się za reprezentanta każdego Żyda w świecie, stojąc na stanowisku, że skoro ktoś jest Żydem to automatycznie musi być syjonistą. I stąd wywodzi się absurdalna teza, że walka ze syjonizmem to to samo co antysemityzm. Jest to bzdura, którą syjoniści szermując na lewo i prawo usiłują zamknąć usta i zatrzymać pióra walczących ze syjonizmem.

Dlatego nieodzówne jest podkreślenie i wyjaśnienie, iż walka ze syjonizmem nie ma nic wspólnego z antysemityzmem.

Antysemityzm to wsteczna ideologia rasizmu, obca każdemu komuniście, każdemu postępowemu człowiekowi. Rasizm jest ideologią, zgodnie z którą każdy, kto współprzynależy do określonej narodowości czy rasy uznany jest za przedstawiciela narodowości drugiej kategorii, któremu odmawia się pełni praw i obowiązków obywatelskich.

Jest sprawą oczywistą, że szermowanie hasłami antysemityzmu to wo

„Wydawać by się mogło, że nasze żądanie wiązania się z państwem Izrael i dzielenia odpowiedzialności za nie, nie ma odpowiednika wśród innych narodów. Ponieważ jednak nasza struktura jako narodu, nasza historia, były zawsze jedyne w swoim rodzaju, jesteśmy upoważnieni do specyficznych praw nawet wtedy, gdy nie stosują się one do innych grup. Żydowski naród nie był nigdy taki jak inne narody. Był on zawsze jedyny w swoim rodzaju. Jesteśmy czymś więcej niż narodem, niż religią i cywilizacją, jesteśmy tym wszystkim razem i dlatego nie ma takiego narodu jak ten".

(Z przemówienia N. Goldmana na V plenum Światowego Kongresu Żydów, lipiec 1966).

da na młyn syjonizmu. Wówczas bowiem wytwarza się sytuację i atmosferę, w której niezmiernie łatwo do

Dokończenie na str. 2

Józef Pieprzyk

Powielanie czy rozmaitość?

PROPOZYCJE KULTURALNE

Dobrze, że odbywa się ogólnopolski przegląd zespołów recytatorskich. Dobrze też, że raz na rok lub na dwa lata rywalizują ze sobą teatry amatorskie, że „boje" o pierwszeństwo toczą chóry i zespoły muzyczne. Wprawdzie te eliminacje powodują różnego rodzaju nieporozumienia, wywołują poczucie krzywdy z powodu rzekomej lub prawdziwej niesprawiedliwej oceny, ale mimo tych „kwasów" pewną wartość ma rywalizacja amatorsko-artystyczna, bo biorące w niej udział zespoły starają się o coraz wyższy poziom swojej działalności.

Po pewnym czasie jednak te festiwale, mające charakter akcyjności, stają się „ograne", powszechnieją i tracą na swojej atrakcyjności. Po drugie — obejmując wszystkie większe ośrodki przypominają raczej jednostajne „monokultury", nie mają nic wspólnego z tak potrzebnym urozmaiceniem, z prezentowaniem różnorodnego bogactwa kultury tak pod względem treści jak i formy. A więc coraz bardziej ujawnia się monotonia, która po pewnym czasie zniechęca i odtwórców i odbiorców.

Niektóre ośrodki kulturalne zdają sobie sprawę z tego zjawiska, szukają nowych form zgodnych z potrzebami społecznymi, aby wyróżnić się, ściągnąć widza i zdobyć uznanie. Każdy taki nowy pomysł znajduje szybko naśladowców. Na przykład ubiegłoroczny rawicki „Turniej Wsi" znalazł chętnych naśladowców aż na Lubelszczyźnie i w innych regionach kraju. Zjawisko dobre, w ten sposób stępia się ostrze schematów, nowość przecież jest mile widziana. Ale gdyby ten „Turniej Wsi" ogarnął cały kraj i co roku wszędzie był „powielany" według programu rawickiego, mielibyśmy do czynienia z nową „monokulturą", z nową akcyjnością.

Czy to odpowiada amatorom — odtwórcom i odbiorcom? Przypatrzmy się bliżej temu zagadnieniu. Każdy powiat ma jakieś ambicje wyróżniania się w działalności kulturalnej w ramach swoich możliwości, chce zwrócić na siebie uwagę, być przynajmniej raz w roku kulturalną stolicą województwa, obojętnie — czy ta stolica będzie we wsi gromadzkiej, miasteczku czy mieście powiatowym. Oto — przykłady. Koncert najlepszych chórów wielkopolskich w auli Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, ściąga niewielu melomanów, ale koncert lepszych chórów, który odbył się wiosną ub. roku w Brodach, zgromadził publiczność złożoną z przeszło 4 tysięcy ludzi z pobliskich i dalszych wiosek. Było to dla nich wielkie przeżycie. Przed kilku laty byłem na wojewódzkim przeglądzie teatrów poezji w Ostrowie, sala świeciła pustką, te same teatry w Lesznie mają powodzenie. Szamotuły w jakimś stopniu stały się najsilniejszym ośrodkiem folkloru, mającym już swoją „markę" w całym kraju. Powiat wrzesiński chlubi się tradycjami walk o wolność w okresie Wiosny Ludów i co roku czci je specjalnymi imprezami. Prawie każdy region ma swoją specyfikę, godną poznania przez mieszkańców innych regionów. Niestety, to nie następuje, gdyż inicjatywa miejscowych działaczy ginie w natłoku nieskoordynowanych imprez i typowych dla całego kraju przeglądów i eliminacji, nie ma charakteru wojewódzkiego, co organizatorów nie zachęca do pokazania swojej specyfiki kulturalnej w najlepszej oprawie, a dla odbiorców — nie ma wysokiej rangi.

Propozycja moja zmierza do wyznaczenia w kolejności każdemu powiatowi jednej niedzieli w ciągu roku, która by nadawała „prowincjonalnemu" ośrodkowi okazję stania się jednodniową kulturalną stolicą województwa. Na przykład w jedną niedzielę czerwcową „Turniej Wsi" w powiecie rawickim byłby wydarzeniem wojewódzkim. Powiat wolsztyński mógłby urządzić Święto Kwitnących Konwalii (jeziora, wyspa konwaliowa, lasy), Szamotuły w inną niedzielę urzekałyby folklorem wielkopolskim, w powiecie krotoszyńskim wiejskie i miasteczkowe domy kultury — na przykład w Pogorzeli — mogłyby zaprezentować jakiś ciekawy wycinek swojej pracy. Września zaś czy pobliski Miłosław prezentowałyby patriotyczne postępowe tradycje. Wymieniłem pierwsze miejscowości i powiaty z brzegu, które nasunęły mi się na myśl.

Z jednej strony wyeliminowano by nawał imprez występujący w maju i czerwcu, zostałyby one rozparcelowane na dłuższy okres. Poszczególne regiony (względnie powiaty) rozkwitałyby po kolei różnymi odmianami kultury, stając się chwilowymi centrami szerokiego zainteresowania społecznego. W jakimś też stopniu osłabiony zostałby „kompleks" prowincji, mieszkańcy poszczególnych regionów przeżyliby swoje wielkie kulturalne święto.

I jeszcze jeden aspekt tej propozycji. Nic tak nie mobilizuje do podniesienia wyglądu osady, jak „najazd" gości. Przecież trzeba przed nimi się zaprezentować od najlepszej strony, aby nie wywieźli złej opinii. I ten aspekt chyba jest godny uwagi.

Zdaję sobie sprawę z tego, że przedstawione sugestie są tylko szkicowe i wymagają przemyślenia. Nie od razu też dadzą się w czyn wprowadzić. Ale chyba nad nimi warto się zastanowić.

Przepraszam, czy można...

Mieczysław Skąpski

Terror palaczy

Najpierw wzięty z życia obrazek obyczajowy. Oto pociąg expressowy „Lech", wagon dla niepalących. Przy stoliku za moimi plecami konduktor zwraca uwagę pewnej pani, że znajduje się ona w wagonie, w którym palenie tytoniu jest zabronione. Pasażerka jest oburzona, czemu daje wyraz pod niesionym tonem głosu. „A cóż to za nonsens, komu może przeszkadzać jeden papieros, trochę dymu w tak dużym wagonie nikt nawet nie zauważy, ależ z pana formalista" itd. itp. Konduktor okazał się człowiekiem niezwykle taktownym i cierpliwym, przez dłuższą chwilę tłumaczył rozsierdzonej palaczce, że w tym wagonie siedzą ludzie, którzy wykupili rezerwację miejsca siedzącego i w większości wybrali sobie miejsce w wagonie dla niepalących. Ci ludzie z góry umówili się z PKP, że podczas drogi z Poznania do Warszawy nie będą musieli cierpieć dymu papierosowego. Należy więc ich decyzję, jak i umowę z PKP uszanować. Palić można na korytarzu, nadto zaś była możliwość wyboru wagonu dla palących z czego namiętna palaczka nie skorzystała.

Przytaczam ten obrazek, aby uzmysłowić raz jeszcze wszystkim znaną nietolerancyjność i agresywność palaczy w stosunku do niepalących. Oto PKP jako jedna z nielicznych instytucji w Polsce wprowadziła w pociągach segregację palaczy od niepalących i proszę, ile z tym kłopotu. Bo przecież sytuacje, jak wyżej opisana, spotkać można w pociągach stale. Przepisy o segregacji łamane są nagminnie. Trzeba zresztą stwierdzić, że konduktorzy i kontrolerzy PKP wykazują wobec łamania tych przepisów daleko idącą pobłażliwość. Z reguły ograniczają się do delikatnego zwrócenia uwagi, do perswazji. Z możliwości egzekucji kary pieniężnej raczej nie korzystają. W tym właśnie wypadku. Bo zdaje się, że ci kontrolujący to też zwykle palacze. A ci się z sobą solidaryzują.

Żeby nie było nieporozumień: sam jestem palaczem, ale z tych, którzy w „Lechu" wykupują miejsca w wagonie dla niepalących, chcą bowiem przez kilka godzin podróży oddychać jako tako czystym powietrzem, a na papierosa wychodzą na korytarz. Jestem palaczem, rozumiem palących, ale przecież dostrzegam terror, jakiemu poddawani są niepalący. I chciałbym wystąpić w ich obronie kierując się zarówno przesłankami społecznymi jak i zdrowotnymi.

Jest przecież jakaś głęboka niesprawiedliwość w tym, że człowiek niepalący, czasami wręcz nie cierpiący dymu tytoniowego, musi stale w dymie się obracać i wdychać go. Chcesz człeku pogawędzić z przyjacielem nad filiżanką kawy w kawiarni musisz się cały czas wędzić w tytoniowym dymie, chcesz zjeść obiad, musisz oprócz zamówionych dań skonsumować także na dokładkę porcję nikotyny. Od tego wyroku nie ma odwołania, od tej sytuacji nie ma ucieczki.

Ale przecież można nie chodzić do restauracji czy kawiarni albo odwiedzać je rzadko. Trudno jednak zrobić to samo z swoim zakładem pracy. Nic nas już tam nie może uchronić od potężnych dawek nikotyny, nie ma bowiem tolerancji dla niepalących. Niech się wędzą, niech się męczą. Ciekawe, że gdy zapytać przygodnego Polaka czy jest on tolerancyjny wobec bliźnich, ich przekonań czy przyzwyczajeń, odpowie, że oczywiście, jak najbardziej. Ale jeśli to będzie palacz to oczywiście jego tolerancyjny stosunek do bliźnich nie obejmuje sprawy palenia. W tym wypadku będzie on tolerancyjny jedynie wobec siebie, wobec swojego nałogu. Inni niech to znoszą, niech będą tolerancyjni wobec niego. Jest to stosunek niewątpliwie wyjątkowo egoistyczny.

Wracajmy jednak do zakładu pracy. W biurach pewnych krajów, gdzie dyscyplina pracy jest znacznie surowsza niż u nas, nie wolno palić papierosów podczas pracy. Choć w biurach tych przeważnie istnieje znakomita klimatyzacja, która każdy dymek natychmiast wchłania i likwiduje, to i tak na papieroska trzeba robić przerwę w pracy i wyjść na korytarz lub inne uznane obyczajem miejsce. Nie ma jednak mowy o kopceniu nad biurkiem! Myślę, że pora już i u nas takie obyczaje wprowadzać. Nie dlatego że zagraniczne. Dlatego, że zdrowe, że higieniczne, że humanitarne i tolerancyjne. Przecież naprawdę godną politowania jest osoba, której przyjdzie pracować w gronie kilku palaczy.

A te nasze konferencje! Kilkadziesiąt osób stłoczonych na małej salce i większość palących. Siedząc w oparach dymu nie czują tego, ten i ów tylko łyka pastylki od bólu głowy, ale ktoś wchodzący do takiej sali jest niemal uderzony panującą tam atmosferą. Proszę obywateli! Przecież my się dobrowolnie i świadomie zatruwamy, rujnujemy sobie zdrowie. Jakże mało zaś organizatorów narad i zebrań bierze przykład z porządków panujących w Komitecie Wojewódzkim PZPR, gdzie już od lat podczas narad na sali palenie jest wzbronione. Co godzinę robi się krótką przerwę w obradach na papierosa (ale i to jest wyraz tolerancji wobec palaczy, przecież niepalący z tego powodu siedzą na naradzie dłużej).

Postuluję: należy przystąpić do akcji mającej na celu zrównanie w prawach palaczy i niepalących, co da się dokonać przede wszystkim przez twarde, konsekwentne wprowadzenie segregacji. Należy zabraniać palenia w miejscach, gdzie znajdują się niepalący, należy dążyć do stworzenia oddzielnych pomieszczeń dla niepalących. Najważniejsze jest oczyszczenie z dymu miejsc pracy. Rozmawiałem niedawno z kierownikiem Kliniki Laryngologicznej Akademii Medycznej w Poznaniu, profesorem Aleksandrem Zakrzewskim. Powiedział mi, że człowiek niepalący przebywający w pomieszczeniu, gdzie pali się tytoń wchłania dawkę nikotyny niewiele mniejszą niż palacze, którzy ten tytoń spalają. Oto ogromny problem zdrowotny. Z jakiej racji, z jakichże altruistycznych pobudek mieliby niepalący zatruwać się dobrowolnie? Niechże przeto przystąpią do akcji, niechże przestaną być tak dalece tolerancyjni i wielkoduszni wobec palących, bowiem ci ostatni z reguły tolerancyjni wobec nich nie są. Niech protestują, niech żądają.

Syjonizm i jego cele

Dokończenie ze str. 1

prowadzić do świadomości każdego Żyda truciznę jaką niosą z sobą hasła światowego syjonizmu. Stąd już nie trzeba czynić ani kroku, by doprowadzić do podporządkowania robotników i inteligencji pochodzenia żydowskiego obcym im interesom światowego syjonizmu. A to prowadzi w prostej linii do zaszczepienia im idei dwu ojczyzn, z których ta druga — Izrael, jego interesy i cele — są ważniejsze niż interesy i cele tej, w której się żyje i pracuje.

Syjonizm to ideologia rasizmu najczystszej wody. Tak, jak hitleryzm uznawał Germanów za nadludzi, za superrasę, tak to samo głosi syjonizm w stosunku do Żydów.

Syjonizm utożsamiający się z religią — wyznaniem mojżeszowym wpycha społeczność żydowską w ramiona rabinackiego ciemnogrodu.

Syjonizm nie dopuszczając do rozwijania się w społeczności żydowskiej procesów asymilacyjnych, w sposób sztuczny, nie godny z interesami tej społeczności usiłuje zamknąć ją w getcie narodowościowym, a tym samym doprowadzić do sztucznego wyizolowania ze społeczności, w których żyją.

Syjonizm doprowadzając do samo wyizolowania się Żydów, zaszczepiając im świadomość, pojęcie i ideę drugiej ojczyzny — ułatwia wciąganie ich do akcji stojących w sprzeczności z racją stanu państwa i narodu, w którym żyją.

Walka z syjonizmem nie ma nic wspólnego z antysemityzmem. I fakt, że niektórzy przedstawiciele społeczności żydowskiej w Polsce stali się nosicielami syjonizmu, świadczy tylko, iż dotychczas zbyt mało i jakby wstydliwie pisaliśmy i mówiliśmy o syjonizmie. Tak jakbyśmy się obawiali, że społeczeństwo nasze, które dało wspaniałe dowody samozaparcia i samopoświęcenia w ratowaniu Żydów podczas hitlerowskiej okupacji, nie było zdolne zrozumieć i odróżnić walki ze syjonizmem od antysemityzmu.

Nie wolno dopuścić, by syjonista za to, że jest zwalczany za głoszenie wrogiej nam ideologii, wrzeszczał na cały świat, że krytykowanie go, to antysemityzm. Musi wiedzieć, że nie przestraszymy się jego krzyku i nie zaprzestaniemy walki ze syjonizmem. Ale też nie wolno dopuścić, by każdego uczciwego oddanego sprawie Polski Ludowej obywatela pochodzenia żydowskiego oskarżać o syjonizm. Na to tylko czekają syjoniści, głosząc nie od dziś, że naród nasz zatruty jest jadem antysemityzmu. Prowokują nas, wmawiając nam to, co w rzeczywistości w ogóle nie istnieje.

Nie zważając na to, co mówią i będą jeszcze mówić na Zachodzie o nas i naszej polityce wewnętrznej, nie przestaniemy zwalczać syjonizmu i tych, którzy w naszym kraju uznali go za swoją ideologię.

Wymaga tego nasz narodowy interes i sprawa socjalizmu. Dlatego też nikt u nas nie może zgodzić się na zatruwanie części naszego społeczeństwa ideologią wrogą socjalizmowi, wrogą polskiej racji stanu, ideologią zmierzającą do przekreślenia naszych zadań budowy społeczeństwa socjalistycznego. Społeczeństwa, dla którego jedynym motorem działania jest szczęście i dobrobyt wszystkich ludzi żyjących w naszym kraju. (API)

Przeglądamy prasę

SZCZĘŚCIE ZA MARKI

Interesującym i pouczającym przyczynkiem do naszej wiedzy o sytuacji Polaków w Niemieckiej Republice Federalnej i o stosunkach w tym kraju „cudu gospodarczego" jest autentyczny pamiętnik Polki przebywającej od kilku lat w Niemieckiej Republice Federalnej. Tekst tego pamiętnika **Grety Reltichowej** pt. **„Szczęście za marki"** drukuje **„Kultura"**. Zachęcając i naszych czytelników do zapoznania się z całością, odnotowujemy jedynie charakterystyczne uwagi z obserwacji zachodniego stylu życia w NRF:

„Inne tu życie, inna mentalność — pisze Reltichowa — i trudno jest się do tego Polakowi przyzwyczaić. Odczuwają to nie tylko Polacy ale i inne narodowości. Niemcy mają tak wszystko idealnie czyste, wysterylizowane, aseptyczne, nawet mózgi pracują z nałogu i są zdalnie kierowane przez telewizję i prasę. Śmieszy mnie owa osławiona wolność na Zachodzie. Tu jest wszystko wyliczone, odmierzone odtąd dotąd (...).

Nie krytykuje się rządu, żadnych władz, swojego szefa, ani żadnego przełożonego. To po prostu nieładnie grymasić i narzekać jak ktoś pozwala żyć. W ogóle na Zachodzie jest ściśle przestrzegany, choć niepisany, zwyczaj nienarzekania na stosunki, w jakich się żyje.

Masz chlebodawcę, fabrykanta, majstra, on daje ci zarobek, szanuj go i czcij jak bożka! Wybrzydzać można się na komunistów, to wolno bez ograniczeń robić.

Z wielu rozmów doszłam do wniosku o zupełnej ignorancji politycznej, o niewiedzy, a czasem wręcz głupocie szarych obywateli, odnośnie spraw społecznych.

Nie słyszy się też żadnych rozmów ani dyskusji politycznych, na temat zarobków też się nie mówi, to „tabu", bo kolega mógłby się dowiedzieć, że za tę samą pracę dostaje o połowę mniej; więc jak każdy trzyma wysokość swego zarobku w tajemnicy, to gwarantuje spokój przy wypłacie. I tak utrzymuje się w tajemnicy byle głupstwa, choć żadnego paragrafu o tajemnicy państwowej czy fabrycznej nie ma. Jeśli ktoś coś nieostrożnie opowie, to zaraz po hitlerowsku wrzaskiem rozmieli go majster na drobny pyłek".

SZANSA DLA AMATORÓW

Amatorski ruch artystyczny jest przedmiotem nieustającej dyskusji. Sporne poglądy wyraża się zwłaszcza na temat jego przyszłości: czy może się w naszych czasach rozwijać, bądź czy jest potrzebny? A życie wbrew najbardziej sceptycznym poglądom dowodzi, iż ruch ten jest potrzebny i się rozwija. Przykłady (Krzycko Wielkie, Leszno), zresztą znane także z publikacji w „Głosie", podaje **Jacek Małecki** na łamach **„Tygodnika Kulturalnego"**. Ale najistotniejsze wydają się wnioski Małeckiego, który wyznacza amatorskiemu ruchowi artystycznemu wielkie zadanie zbliżenia wielowiekowej kultury regionu współczesnemu mieszkańcowi, by umożliwić mu poszukiwania a nawet współautorstwo tekstów.

„Trzeba również uwzględnić zapotrzebowania na informację o kulturze bycia, sposobie zachowania się w różnych sytuacjach towarzyskich — pisze autor. Nie można zapominać o tym, że ludzie chcą estetyczniej i nowocześniej urządzać mieszkania, że pragną kształcić dzieci, stąd duże zainteresowania pedagogiką. Że młodzież pragnie nie tylko potańcówek, ale i wieczorków, gier i zabaw towarzyskich, kursów tańca, i pokazów kosmetycznych. I te właśnie formy oświatowe, w połączeniu z rozrywkowymi, winny zajmować czas, o ile nie w większym stopniu, to w każdym razie na równi z działalnością zespołów artystycznych".

Małecki wierzy, że nie zabraknie wówczas ani wykonawców, ani odbiorców i nikt też nie będzie narzekał na nudę.

CO ON CHCIAŁ PRZEZ TO POWIEDZIEĆ?

Właśnie — ileż to razy z takim pytaniem jak to, które jest tytułem felietonu **Henryka Jankowskiego** w **„Argumentach"**, spotykamy się w codziennym życiu. A przecież zazwyczaj mówi się właśnie to, co się chce powiedzieć, rzadziej przy mówieniu tego co się chce powiedzieć, mówi się zupełnie coś innego.

„Ten typ interpretacji — pisze Jankowski — dotyczy zresztą nie tylko treści wypowiedzi, lecz również — a może nade wszystko jej intencji. Co mianowicie chciał X osiągnąć krytykując Y, co natomiast Y chwaląc X. Co chce ode mnie pan Z, który pochwalił moją ostatnią publikację, co zaś pan W który ją zganił. Nikt prawie nie przyjmuje zasady, zgodnie z którą krytyka jest rezultatem zwykłej oceny dzieła, podobnie jak i jego pochwała. Nikt nie przyjmuje intencji zgodnie z którą komplement jest przejawem życzliwości, lecz raczej uważa go za przejaw interesowności.

Ciągłe stosowanie tego typu praktyk interpretacyjnych prowadzi do utrwalenia się pewnych podziałów, które z kolei zaczynają funkcjonować niejako samodzielnie. Przy istnieniu zaś takich podziałów klucze „interpretacyjne" staną się wytrychami. Petryfikacja takich podziałów powoduje uniemożliwienie jakiejkolwiek dyskusji czy porozumienia, bowiem wszelkie wypowiedzi będą ciągle interpretowane zgodnie z owym podziałem. Jeżeli więc przyjmuje się z góry, że X jest nieżyczyliwy dla Y i jeżeli w pewnym momencie X wyrazi się o Y życzliwie będzie to traktowane jako wyższa forma perfidii, jako przejaw taktyki, przy pomocy której X chwilowo chwali Y tylko po to, by go później tym skuteczniej pogrążyć.

Nie dajmy się zwariować. Dyskusja w tego typu atmosferze jest przedsięwzięciem całkowicie beznadziejnym".

Nic, tylko życzyć sobie, żeby tak rzeczywiście było, co napisawszy, chcielibyśmy wierzyć, że i to co tu czytelnicy przeczytają — wezmą tylko za to co napisano.

LEKTOR

2 GŁOS TYGODNIA
17 III 1968 Nr 333